

„Antygone” oglądaliśmy w Szczecinie 9 lat temu na scenie Teatru Współczesnego. Tamto przedstawienie reżyserował Marek Okopiński w bardzo okazałej dekoracji Janusza A. Krassowskiego. I realizatorzy, i wykonawcy, a zwłaszcza Danuta Chudzińska w roli Antygony zebrali za to przedstawienie wiele pochwał.

„Antygone” — pisał o nim wówczas Zygmunt Greń — gra Danuta Chudzińska — w pierwszych scenach, wydaje się, zbyt ascetycznie, nawet ubogo. I to jednak okazuje się świadomą grą reżysera. Na tle wspaniałej i nieco patetycznej dekoracji przedstawiającej wielkie schody, od proscenium niemal w górę, zaprojektowanej przez Janusza A. Krassowskiego, rozgrywa on dramat zwyciężonej dziewczyny, która prostymi słowami opowiada o swoim moralnym obowiązku, jakiego chciałaby jej odmówić brutalna, niemal sadystyczna obsesja władcy.

Przypominam o tamtej „Antygonie” nie bez powodu. Po prostu

wydało się, że Janusz Bukowski, decydując się na kolejną realizację wielkiej tragedii Sofoklesa, w tym samym zresztą sproszkowanym przekładzie Stanisława Hebanowskiego i — co również nie jest bez znaczenia — z tą samą odtwórczynią Antygony, musiał mieć po temu ważne artystyczne racje. Należy przypuszczać, iż uważał, że ma w tej sprawie coś nowego do powiedzenia.

I rzeczywiście — obecna „Antygona” jest zupełnie niepodobna do tej sprzed 9 lat. Nie tylko dlatego, że antyczna tragedia rozgrywa się w zamkowej Sali Księcia Bogusława. Ta sala, prawdopodobnie, była jedną z głównych lokus, które zaważyły na decyzji Bukowskiego, aby jeszcze raz porządkować publiczności szczecińskiej „Antygone”.

Po niedawnej premierze w tej samej sali „Księcia Niezłomnego” mamy sposobność znów się przekonać jak wiele możliwości dla inscenizatorów kryje jej wnętrze. W tym przypadku scenografia została sprowadzona do najprost-

szych elementów. Ta prostota, to osobisty sukces Jana Banuchy — autora scenografii. Banuchę znamy dobrze w Szczecinie z wielu interesujących opraw scenicznych. Przypomnę chociażby „Oskarżyciela publicznego”, „Powrót Odysa”, „Jana Macieja Karola Wściekłego”, „Damy i huzary”, a ostatnio „Przedwiośnie”. W sali zamkowej Banucha też miał już okazję zaprezentować swoją inwencję. To on był autorem scenografii „Snu nocy letniej” i „Świętej Joanny”. Teraz, w przedstawieniu „Antygony” zaskoczył nas wyrafinowaną prostotą. Odwrócił układ sali, wykorzystując drzwi wejściowe jako bramy pałacu Kreona. Przed nimi miejsce akcji, ta umowna tutaj scena, najzupełniej pusta przestrzeń, wyłożona kamieniami i grubym żwirem. Jedynym architektonicznym elementem jest mała, kamienna studzienka. Taką też kamienną ścieżką jest przejście między rzędami widzów, prowadzące aż do kulis. Inaczej mówiąc, znajdujemy się na tebańskim placu i jesteśmy jakgdyby uczestnikami dziejących się tam wydarzeń. Postaci tragedii tylko dwa razy pojawiają się wysoko na krzągankach. W ten sposób została rozegrana scena, w której Kreon przemawia do mieszkańców Teb.

I kostiumy. Antygona i Ismena stawiają się jedynie w białych

zwykłych chitonach. Chiton Kreona jest nieco bardziej ozdobny, skórzany, podobnie strój Hajmona, Strażnik ma na sobie kozie skóry. Koryfeusz natomiast obcisłą skózaną kurtkę i także spodnie.

Zgodnie ze współczesną już tradycją Bukowski zrezygnował całkowicie z chóru, sprowadzając go do jednej postaci, czyli Koryfeusza. Nie pozwolił mu jednak stać z boku, być jedynie obserwatorem i interpretatorem scenicznej akcji. Koryfeusz jest tutaj jak gdyby pełnoprawnym uczestnikiem tragedii, jak inne jej postaci. Co istotne, Koryfeusz, to nie żaden starzec, ani nawet dojrzały mężczyzna. J. Bukowski powierzył tę rolę młodemu aktorowi, debiutującemu dopiero na scenie. Karol Gruza, jako Koryfeusz, nadał tej postaci jakiś nowy sens, odświeżył jakby mądrości zawarte w jej komentarzach, nasycając je młodzieńczą emocją i jakimś wewnętrznym żarem. Nawiasem mówiąc jest to jeden z bardziej udanych debiutów, których nie brak w bieżącym sezonie na szczecińskich scenach.

Wyznam, że premierowe przedstawienie nie budziło we mnie specjalnego zachwytu. Po premierze słyszano się zresztą o nim bardzo sprzeczne opinie. Cóż, zdarza się w teatrze, że pierwsza konfrontacja z publicznością nie wypada całkiem pomyślnie. Składa

się na to mnóstwo powodów, które trudno w tym miejscu rozstrząsać. Wspominam o tym, bo po następnych przedstawieniach moje uprzedzenia prawie całkiem zniknęły. Jeżeli więc ewentualnie ktoś odczuwał to samo po premierze, to gorąco zachęcam do powtórnego obejrzenia „Antygony”.

Sama Antygona D. Chudzińska też jest całkiem inna, niż przed laty. W tej postaci nastąpiło jak gdyby połączenie kobiecej i artystycznej dojrzałości. Antygona Chudzińska, to jeszcze młoda kobieta, ale już nie młodzieńcza dziewczyna. Ma w sobie tę dojrzałość, która bardziej przekonująco uzasadnia jej przywiązanie do braci i jej bunt przeciwko światu, który reprezentuje Kreon. Bunt przeciwko życiu. Bo tragizm takiej właśnie Antygony nie polega tylko na jej moralnym obowiązku przeciwstawienia się rozkazowi Kreona i pogrzebania ciała Polinika z całą świadomością konsekwencji, jakie ją za to czekają. Antygona, córka Edypa, w sytuacji, w jakiej się znalazła, jest jak gdyby opętana myślą o śmierci, szuka jej. Upór, z jakim do tego dąży, zdaje się nas przekonywać, że bunt przeciwko Kreonowi i pogrzebanie ciała brata są dla niej tylko środkiem do celu, a nie celem samym w sobie. A właściwie dlaczego miałoby tak nie być? Córka z kastroldzkiego

związku Edypa i Jokasty, siostra Eteoklesa i Polinika, którzy zginęli w bratobójczej walce — czy to niedostateczny powód, aby nie mieć ochoty do życia? Jeżeli w dodatku nadać temu można konkretny sens, występując przeciwko woli Kreona, który swoim brutalnym rozkazem łamie prawa boskie — czegoż chcieć więcej dla szukania zadośćuczynienia dla siebie we własnej śmierci? To jasne — trzeba być do głębi udręczoną życiem, mieć pełnię świadomości powikłania swego losu, aby tego chcieć. I dlatego nie może to dotyczyć Ismeny, zbyt młodej i zbyt słabej, aby szukać z tego wyjścia w samozatruceniu się.

Należy dodać, że takie, a nie inne motywy działania Antygony nie osłabiają bynajmniej jej racji w starciu z racjami Kreona. Wręcz przeciwnie — im głębsza i tragiczniejsza jest Antygona, tym bardziej głębokie i ludzkie są jej racje, a w rezultacie tym bardziej nie do przyjęcia jest pycha i zaufanie Kreona.

To dążenie do śmierci przez Antygone też ma zresztą swoje granice. W decydującym momencie, kiedy rzecz staje się już nieuchronna, Antygona — Chudzińska jakby waha się i jakby dopiero teraz zrozumiała, co ją czeka, wyraża przejmujący żal za życiem. Jest to jedna z najbardziej wzruszających scen w całym przedstawieniu.

A sam Kreon, to znaczy Bohdan A. Janiszewski? Jakie są motywy jego działań, jakie idee głosi i jakie ma dla nich argumenty? Ostatecznie Sofokles nie odmawiał całkowicie racji Kreonowi, chociaż opowiedział się za Antygona. Łamiąc swoim rozkazom niepisane prawa wszelkiego istnienia, a więc prawa boskie, Kreon nie mógł ująć swego przeznaczenia, ale przecież jest on zarazem wyrazicielem jakiegoś racjonalnego porządku świata, jakieś hierarchii wartości mającej zapewnić ten porządek.

O jaki porządek chodzi? Kiedy Kreon pojawia się na gorze i przemawia do Tebańczyków,

rzecz zapowiada się interesująco. Słyszemy przemówienie zabarwione najczystsza demagogią. Coś dobrze znajomego można wyczuć w tym samozwańczym władcy silnej ręki. Liczy się karność, ślepe posłuszeństwo, bezwzględna lojalność wobec władzy. To podobniemu chcieli nie tak dawno jeszcze zapanować nad całym światem, a ich pogrobowcy dotąd dają o sobie znać. Taka propozycja interpretacji Kreona zdaje się być nieźle pomyślana. Niestety, sprawdza się tylko na początku, bo później Janiszewskiemu brakuje już konsekwencji.

Miałem już niejednokrotnie okazję pisać z wysokim uznaniem o aktorstwie B. A. Janiszewskiego, którego w ostatnich latach pamiętamy zwłaszcza jako doskonałego Edypa i hetmana Kossakowskiego w „Horsztyńskim”. W tym jednak przypadku jego Kreon budzi tak zwane mieszane uczucia. Po interesującym początku propozycja demagogicznego dyktatora — protoplasty faszyzmu — załamuje się. Jeszcze można doszukać się jej trochę w scenie rozmowy z Antygona, a potem już Kreona trudno zaakceptować. Od sceny z Hajmonem (Warszawianin Kmita), brakuje mu po prostu wnętrza. Przepraszam, jest jeszcze jedna, dobra, mocna scena załamania się Kreona po przepowiedni Terezasza (Jerzy Wąsowicz), ale ta już wszystko. Żal, bo wszystko zapowiadało się bardzo obiecująco, jako bardzo współczesne odczytanie tragedii Sofoklesa.

Jeżeli jednak nawet nie była to całkiem udana próba takiego odczytania, to przecież przedstawienie J. Bukowskiego i tak ma na swoją obronę dostatecznie dużo dobrych argumentów. Należy do nich dodać również Ismenę w wykonaniu Mirosławy Nyckowskiej, Strażnika — Mikołaja Millera i oprawę muzyczną Piotra Mossa.

A swoją drogą ciekawe czego w następnej kolejności możemy oczekiwać na scenie zamkowej?

Z. WRZOS

Felieton teatralny

Śmierć wyzwoleniem



Fot. L. Kamiński